Ner 30. **Kraków 15 sierpnia 1867.** **Rok II.**

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr. 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano

Nr. 30: — *Ważność stowarzyszeń kobiet*, podług wykładu pani Ulryki Henschke, przez L. — *Pożegnanie* (wiersz). — *„Odpuść nam jako i my odpuszczamy“* (szkic powieściowy), napisał Elpidon. — *Pani Staël* (życiorys). — *Grajek*, (wiersz z Poetefiego). — *Obrazy i Obrazki z tatrzańskiéj wycieczki* (c. d.) — Z przyrody, *Stereoskopy.* — *Koresp. z Paryża.* — *Gymnastyka żeńska.* — *Nowe książki.* — *Nuty.*

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **nuty**.

Ważność stowarzyszeń kobiet *)

PODŁUG WYKŁADU PANI

ULRYKI HENSHKE.

PRZEZ L.

Jakby czarodziejskiém zaklęciem wywołane, wystąpiły w naszych czasach dwa uwagi godne zjawiska: z jednéj strony przestraszająca bezsilność kobiet; — z drugiéj — ich energia w przedsięwzięciu, poświęcenie a mianowicie duch zgody, który wielkich rzeczy dokonał. — Poszarpałybyśmy jednę z najpiękniejszych kart historyi naszych czasów, gdybyśmy chciały pominąć to, czego ręce i serca kobiece dokonały.

Starania, których celem jest, aby granice zarobkowania kobiet rozszerzyć, ich wykształcenie a têm samém ich samodzielność podnieść — wynikły z prawdziwéj i dotkliwie dającéj się uczuć potrzeby. Nie chodzi nam dzisiaj już o to, ażeby ważność tych starań usprawiedliwić — ale żeby je dobrze zrozumieć. Przedewszystkiem sądzę, że zadaniem kobiet jest, dowieść, że rozumieją najzupełniéj, czego żądają, że mają na uwadze odsunięcie udowodnionych, szkodliwych okoliczności, które rozwojowi ich sil stoją na zawadzie. — Jeżeli tego dokonamy — wtedy można mieć nadzieję, że przeciwników naszéj sprawy, sumiennych przynajmniéj przeciwników — o sprawiedliwości naszéj sprawy przekonamy, szczególnie zaś tych, którzy się nie mogą pozbyć obawy, że: „usiłujemy oddalić kobietę od rodziny i domowego ogniska“. Wiele już pisano i mówiono, aby wykazać bezzasadność tego uprzedzenia, a jednak téj prawdy nigdy dosyć często powtórzyć nie można.

*) Dla wiadomości nowoprzybyłych naszych Prenumeratorów podajemy, że rozprawka niniejsza jest niejako dalszym ciągiem dawniéj umieszczanych a zajmujących się tymże przedmiotem pod rozmaitémi względami. Artykuły poprzednie były: „O stanowisku kobiety“. — „O wychowaniu kobiet podług Dr. Virchova. — „Równouprawnienie“. — „Kluby kobiece w Anglii“..... (Red.)

Dwa są punkta, na które człowiek uwagę swoją skierować musi, szukając sobie miejsca w kole towarzyskiego porządku.

Są one równe tak dla kobiet jak dla mężczyzn.

Będę się starała wykazać, jakie od przyrody mamy warunki, i czego od nas oświata żąda. — Szczęśliwém to będzie zrządzeniem, jeżeli obiedwie w naszém zadaniu się spotkają, jeżeli ostatnia z pierwszéj organicznie powstanie:

Imie żony i matki zachowało swój dźwięk czysty, mimo okresów najgwałtowniejszego zamięszania w pojęciach i obyczajach. I my zatém uważamy powołanie żony i matki jako święte zadanie przyrody, ale zarazem jako wielkie zadanie oświaty.

Ale czyż mogą być dziewczęta do tego zadania przygotowane, jeżeli wstępują w związek małżeński, jak dzieci nierozwinięte? Czy pojmują zakres powołania tak obszernego, jak żadne inne?

Każda młoda matka rozmyślać musi nad zagadką chowania i opieki nad dzieckiem, a jeżeli jest sumienną, to jéj poświęca wiele godzin pełnych śmiertelnéj obawy. Jéj serce nie wystarcza tutaj: kto się kołysze w snach poetyckich o instynkcie macierzyńskim, niechaj odwiedzi nocną godziną miejsce, gdzie młoda matka, z potem na czole, lekarstwa po lekarstwie używa, aby dziecię uspokoić. — Przyjaciołki, tym samym niewątpliwym instynktem wiedzione, radzą różne soki, lekarstewka, zupełnie przeciwne skutki sprawiające, które mały organizm nadwerężają. — W końcu w największéj dopiero rozpaczy wołają lekarza. Lekarz uśmiecha się na widok tych tysiącznych aparatów w pokoju i wymienia matce niewinną przyczynę głośnych płaczów, którą łatwo usunąć.

Zdaje się więc, że cokolwiek znajomości lekarskich jest użyteczniejszém od instynktu matki. Jak wiele uniknęłybyśmy niepokoju, daremnych trudów, gdybyśmy się starały poznajomić z rozwojem fizycznego ustroju dziecka!

A jeżeli instynkt macierzyński okazuje się nieudolnym w wypełnianiu pierwszych obowiązków, czegoż można żądać od płatnéj, obowiązków tych nieświadoméj sługi? — Tego się uczyć trzeba.

Wszakże ogrodnik uczy się poznawać i pielęgnować każdą roślinkę, dlaczegóż my miałybyśmy bez wskazówki kierować tą tkliwszą jeszcze roślinką!

Wierna sumienna matka niechaj swoich sił daremnie nie zużywa. Lekkomyślna, samolubna niechaj przyjdzie do poznania ciężaru odpowiedzialności. Dlatego powtarzamy z naciskiem, że jest niezbędną: Wiadomość nauki o zachowaniu zdrowia w ogóle i stósownem wychowaniu dziecka w pierwszych latach jego życia.

Towarzyszmy małej istocie przez następujące lata dziecięctwa. Rozwój umysłowy ma tu największą wagę: czysty instynkt macierzyński tém mniéj w tym wieku do właściwego wychowania dziecka wystarczy. Nie łudźmy się co do stosunków naszych i rzućmy śmiałém okiem na nasze rodziny.

Jak często skarży się biedna matka, że dziecko dla niéj „uszanowania“ nie ma, a sama jest zanadto niecierpliwą, aby mu jakiekolwiek pojęcia przystępnemi uczynić. Dlatego je wcześnie do szkoły posyłają, bo matka nie umiejąc go zająć, pozbywa się w ten sposób wichrzyciela.

I tego się nauczyć trzeba. — Nie umiemy się z naszemi dziećmi obchodzić; cóż nam więc instynkt macierzyński pomoże? Młode, ośmnastoletnie dziewczęta, które odbyły kurs jako „Kindergärtnerinnen“, umieją 20—30 tych niespokojnych duchów w należytym porządku utrzymać. Czy nie powinnyśmy się wstydzić, my matki, że dziewczę 18to-letnie nasze dzieci lepiéj od nas prowadzić umie?

Ona się tego uczyła, dlatego umie *).

Posyłajmy więc nasze dzieci do tak zwanych „Kindergärten“.

Ale czy wiemy jak wiele tracimy, nie mając pod okiem pierwszych objawów, budzącego się ich umysłu? Cóż słodszego nad wnikanie w duszę dziecięcą, w jéj bezwiedne cudowne rozwijanie się!

Jakież błogie porozumienie w ścisłém obcowaniu matki z dzieckiem! Jestto ten wiek, o którym Chrystus powiedział: „Pozwólcie dzieciom pójść do mnie, i nie brońcie im, bo ich jest królestwo niebieskie“....

I my uczestniczyć możemy w tém królestwie, potrzeba nam tylko mieć klucz do téj zagadki.

Miłość dziecka jest każdéj matce wrodzoną, ale miłość, a zrozumienie obowiązków, które ona nakłada, rzadko są w zgodzie. W tym względzie trzeba pewnych wiadomości umysłowych, aby instynktowi serca dopomagały.

Jeżeli rodzice bogaci a nierozważni, posyłają swoje córki do sławnych pensyj zagranicznych, gdzie odbierają wykształcenie, którego celem jest forma towarzyska, próżna konwersacja salonowa — to my starajmy się, aby przez owe lata przygotować nasze córki do życia familijnego.

Nasze córki powinny pobierać nauki pedagogiczne na żyjących przykładach, których im dostarczyć mają zakłady wyżéj wspomniane. Przez praktyczne ćwiczenia ich instynkt kobiecy niedostateczny, oczyści się i rozwinie; będzie to dla nich podstawą przyszłego powołania.

Jednakowoż dobro domu innych jeszcze wymaga obowiązków. Czy nasze młode gosposie myślą, że umieją przewodniczyć domowi, jeżeli lata młodości spędziły na próżnych igraszkach i cacankach?

Matka domu, jak ją sobie przedstawiamy, czyż nie stała się dzisiaj niemal postacią mityczną wobec tych pań salonowych, u których treścią życia jest toaleta!

Nie poniżamy matki domu do stopnia pierwszéj niewolnicy, któréj jedyném zadaniem były starania około materyalnych potrzeb domu; — ale kobieta wtenczas tylko zachowa swoją powagę przełożonéj, jeżeli nie będzie zależeć od sług niedoświadczonych, jeżeli silną ręką i pewném okiem potrafi zarządzać całym domem.

Godne poszanowania kobiety otwarcie wyznają, że kwestja slug stała się dla nich kwestją życia.

Dlaczego? Dlatego, że prawie każda młoda kobieta na swém gospodarstwie uczyć się dopiero zaczyna, kiedy powinna już umieć i innych uczyć.

Dawniejszémi patryarchalnemi czasy nie było to może nieszczęściem. Mieszkało się jak rodzice mieszkali, ubierano i żyło się jak oni. Prosty ten sposób życia ułatwiał przegląd i ukracał lata nauki. — Teraźniejsze stosunki nasze powikłane, wymagają różnorodnych obowiązków, wchodzących w ścisły zakres domu. Jest zatém rzeczą konieczną, aby nasze kobiety lepiéj, obszerniéj do tego zakresu powołania przygotowane były.

A gdzież znajdziemy jakikolwiek zakres życia praktycznego, któryby w ostatnich lat dziesiątkach nie został siłą nauki udoskonalony! rozszerzony?

(Ciąg d. n.)

*) Zakłady „Kindergärten“ są to niejako szkółki dla dzieci od lat 3—5. W dużych ogrodach uczą się modlitewek, piosnek. Ku zabawie ich służą małe narzędzia do budownictwa, malarstwa, wyrobów słomkowych itd. Dzieci zostają tam dzień cały pod nadzorem („ogrodniczek dzieci“) guwernantek, które odbyły kurs pedagogiczny. W innych krajach gdzie praca zarobkowa zajmuje kobietom wiele czasu, zakłady te mnożą się z wielką wygodą dla matek i korzyścią dla dzieci. W Galicyi jest już taki zakład w Biały.

POŻEGNANIE.

I poszedł — tłomak na ramię rzucił,
Odchodząc od swych dolin i hal,
Wzrok pożegnania potoczył w dal,
I westchnął ciężko jakby się smucił....
Biedny wędrowcze, żal mi cię żal!

A śród modrzewia kościołka ściany
Świecą, nad wieżą krzyżyczek lśni,
Wędrowiec wspomniał na lepsze dni,
Ku drogim miejscom wzrok zapłakany
Zwrócił, o szczęściu minionem śni!

Potém wędrowiec ów zadumany,
Drżący przestąpił kościelny próg,
Gorące modły usłyszał Bóg.
Wyszedł na cmentarz kwiatem zasłany,
Gdzie śród płaczącéj wierzbiny grób.

I przy grobowym klęknął kamieniu,
Na marmurowéj płycie coś ryl,
Potém jak gdyby przybrakło sił,
Opuścił rękę w ciężkiém westchnieniu
Pochylił głowę i znowu śnił....

Lecz usta z cicha skargę szeptały,
A w sercu straszny toczył się bój,
Znać, że mu ciężki ten ziemski znój,
Znać, że huczały w życiu nawały
Że w jego duszy utrapień rój!

I długo klęczał po nad mogiłą,
„Oby ci anioł pociechę dał,
„Oby pokoju kropelkę wlał,
„Obyś wzmocniony znów nową siłą,
„Pośród żywota trudów nie mdlał!“

Poszedł wędrowiec, kwiatów grobowych
Narwał i zrosił od swoich łez,
Opuszczał marzeń tu swoich kres,
Kres błogich życia tych dni różowych,
I rzekł: „by spocząć przy tobie téż“.

Bo rozłączyła nas Boska ręka!
Rozdarła wianek majowych róż,
Zabrała ciebie do czystych dusz,
A mnie została się tutaj męka,
I żywot pełen wichrów i burz!

Poszedł wędrowiec, strony swe rzucił,
Wzrok pożegnania potoczył w dal,
Wzrok pożegnania dolin i hal,
I westchnął ciężko, o bo się smucił. . . .
Biedny wędrowcze, żal mi cię żal!

Po nad mogiłą smutno znów było,
Księżyc ją zdobił jasnością swą,
I rosa chłodną płukała łzą,
Samotne ptasze w drzewie kwiliło,
Wkoło mogiły bluszcze się pną.

G. z K.

„Odpuść nam jako i my odpuszczamy“.

(SZKIC POWIEŚCIOWY.)

napisał ***Elpidon.***

(Ciąg dalszy.)

III.

Każda radość musi zmęczyć i przesycić — nawet miłość unuży serce, gdy ją posiadamy bez przeszkód, bez trudu. Człowiek potrzebuje walki, jednostajność jest mu męką. Gdyby na świecie zapanował spokój i szczęście, gdyby niebo było bez chmur i bez nocy, życie bez burz i strapień, człowiekby umarł z nudów.

Małżonkowie nie mieli obawy takiéj śmierci. Przybycie trzeciego człowieka zaniepokoiło trochę ich ciche szczęście — teraz już nie każda chwila należała do nich, nie zawsze mogli być sam na sam, pieścić się. Te małe przeszkody były pikującą zaprawą — Juljan przydał się jak pieprz w rosole. Człowiek towarzyski i oczytany bawił ich rozmową i opowiadaniem — młoda pani słuchała go z zajęciem. Wyglądał już całkiem inaczéj jak wtedy, gdy przybył; trochę wygód, kilkanaście łokci sukna przemieniły włóczęgę w Warszawskiego salonowca; w ruchach miał swobodę i ujmującą elegancję. W domu było z nim bardzo przyjemnie i wesoło, tak dalece, że kiedy raz wyjechał gdzieś na dni parę, widocznie czuć się dawał brak jego — młoda pani nudziła się trochę. Wrócił trochę zamyślony — powodem tego zasępienia było, że się zgrał gdzieś w karty — ona tłomaczyła to sobie zakochaniem i poczęła go tém prześladować nie bez kokieteryi. Szczęśliwy mąż pomagał jéj w tém, to żartując z Juljana — to na serjo namawiając go, by się żenił.

— Małżeństwo to pełność szczęścia — rzekł, całując w rękę swoją żonę.

W chwili, kiedy schylał głowę, Juljan wpatrywał się w jego żonę jakimś dziwnym, badawczym wzrokiem — przypadkowo i ona spojrzała na niego i zapłonęła cała. Ciekawe było porozumienie tych oczów. Gdy mąż podniósł głowę, już nie patrzała na Juljana, mężowi dała uśmiech i spojrzenie na podziękowanie.

To zapłonienie było jéj pierwszém wyznaniem. Melancholiczny i czuły Kazimierz wydawał jéj się nudnym obok Juljana. Dowiedzione jest, że kobiety lubią awanturników.

Odtąd jéj wzrok i Juljana częściéj się ze sobą spotykały — usta ich nie powiedziały sobie jeszcze nic, oczy zdradzały już tajemnicę.

Młodą panią często teraz widywano chodzącą koło kwiatów i pielęgnującą je starannie — szczególniéj te kwiaty, co rosły pod oknem Juljana.

On znowu z książką siadywał najczęściéj w altanie, stojącéj naprzeciw jéj mieszkania.

Czasami spotykali się w ogrodzie — rozmawiali ze sobą nie wiele, ale słowa ich były treściwe i zagadkowe — wiała od nich namiętność i gorąco. Kilka takich słów wystarczało na długie marzenia i domysły. I tak raz spotkali się koło stawu.

— Panu tu u nas pewnie nudno być musi? — zagadnęła młoda pani.

— Pani nie wierzysz w to, co mówisz.

Spuściła oczy.

— A jednak uciekać ztąd trzeba.

— Pan odjeżdżasz? — spytała pospiesznie z przestrachem.

— Czy chcesz pani, abym tu czekał, aż się do reszty strawię, spalę.

Nastało długie milczenie — po chwili odezwała się cichym szeptem:

— Zostań pan, proszę.

Twarze ich płonęły ogniem, krew lawą tętniła w pulsach — zbliżyli się do siebie — on ją wziął za rękę i rzekł namiętnie stłumionym głosem:

— Twoja prośba niebo mi otwiera.

Coś zaszeleściało w krzakach, wzdrygnęli się i obejrzeli. Za niemi stał niemy garbusek i dziwnie im się przypatrywał.

Tego wieczoru jeszcze młoda pani prosiła swego męża przy herbacie, by garbuska wydalił z domu, bo go znosić nie może, wymawiała mu, że jéj nie kocha już, kiedy o taką bagatelę tyle czasy każe się prosić. Kazimierz pocałował ją w czoło i obiecał natychmiast uczynić jéj zadość — umyślił wysłać brata do jednego ze swych znajomych mieszkającego w Warszawie i płacić od niego. Poczta o 11stéj w nocy przejeżdżała przez miasteczko, potrzeba więc było natychmiast wyprawić posłańca z listem, by doszedł tego tygodnia do Warszawy. Nie chciał ani chwili zwlekać — szło mu o żonę. Zostawił więc ją z Juljanem przy herbacie — a sam poszedł do swego pokoju pisać list.

Jeszcze nie zabrał się do pisania, kiedy do pokoju wsunął się ostrożnie garbusek, wziął go za rękę i dał mu ręką znak, by szedł za nim. Kazimierz łubo niechętnie, poszedł jednak, domyślając się, że się coś stać musiało. Niemowa wprowadził go w ogród, między kląby kwiatów — pod okna sali jadalnéj i pokazał mu ręką, gdzie się ma patrzyć. Okna były zasłonięte storami, ale na storach wyraźnie widać było cienie dwóch głów, zbliżające się do siebie tak, że się zlewały w jedno — to znowu oddalały od siebie.

Kazimierza coś załupało w skroniach, uczuł żar pod czaszką, nogi pod nim osłabły — przerażenie zrobiło go bezsilnym. Po chwili opamiętał się, zebrał siły, wrócił do pokoju swego i ztamtąd cicho podsunął się pod drzwi sali. Słyszał szepty i pocałunek — otworzył drzwi — kochankowie splątani uściskiem, odskoczyli od siebie. Kazimierz wszedł do pokoju — zbliżył się do stołu i wziął cygarniczkę, nie spojrzał nawet na nich i wyszedł. Tylko był bardzo blady i zmieniony, a ręce jego drżały.

Po jego odejściu Juljan pomięszany wstał i pożegnał panią domu. Nie śmieli mówić o tém co zaszło, ale oboje mieli w duszy choć słabą nadzieję, że Kazimierz nie uważał ich zmięszania. Juljan wrócił do swego pokoju, już miał się rozbierać, gdy wszedł Kazimierz — był pozornie spokojny, tylko oczy zapadłe świeciły się dziwnym, przerażającym blaskiem. Stanął we drzwiach i rzekł głosem ostrym:

— Proszę ze sobą.

Juljan zmięszał się, wstał i szedł za nim posłuszny. Minęli ogród, dworskie zabudowania, topolową aleję i skręcili się na prawo. Gdy wyszli na pole oświecone blaskiem księżyca widno było, ze coś małego czarnego, posuwało się w pewnéj odległości za nimi, coś jak duży pieś, lub niedorosły chłopiec.

Zbliżyli się ku laskowi, który stał w znacznéj odległości od dworu.

Po co mnie tu prowadzisz? spytał Juljan, którego milczenie Kazimierza zaczęło przejmować trwogą.

Kazimierz stanął, dobył coś z pod surduta błyszczącego i dał Juljanowi.

— Masz, stawaj — rzekł krótko, sucho.

Juljan wziął pistolet.

— Ty strzelasz pierwszy — rzekł wyzywający bezdźwięcznym głosem.

— Ależ taki pojedynek bez świadków to bezprawie.

— Milcz łotrze, ty co gwałcisz prawa, nie żądaj prawa — strzelaj — rzekł dziko.

Gdy błysk wystrzału rozjaśnił ciemność, coś czarnego zasłoniło Kazimierza i równocześnie dał się słyszeć jęk jakiś dziwny, jakby nie człowieczy — Kazimierz nieprzytomny spojrzał i ujrzał garbuska ze skrwawioną piersią, upadającego na jego ręce.

IV.

I znowu było ponuro we dworze — cmentarna cisza rozsiadła się po komnatach i zmieniła mieszkanie w pustkowie. Małżonkowie żyjąc pod jednym dachem przez kilka miesięcy nie widzieli się z sobą — pokoje, które ich przedzielały, tylko służba odwiedzała, robiąc w nich porządek, szepcząc sobie różne rzeczy o dziwném pożyciu państwa. Kazimierz trawił się i gryzł, cierpienia okropne szarpały serce samotnika, wyglądał jak widmo, wynędzniały i ponury. Nieszczęście zgniotłszy go, zostawiło na nim ślady, jak na zmiętym papierze, który ręka konwulsyjnym ruchem z bolu zaciska, a serce zcierpnęło, skurczyło się jak robak skaleczony. A jednak, gdyby była przyszła i rzuciła mu się do nóg, czuł, że nie mógłby jéj odepchnąć, że przebaczyłby jéj wszystko. Ale mijały miesiące — nie przyszła

Dowiedział się jednego dnia, że była chora, poczynały się cierpienia porodowe — posłano po doktora. Kazimierz nie spał całą tę noc, czuwał w swoim pokoju. Ile razy doszedł jego uszów jęk głośniejszy, ruszał się niespokojny na krześle, kilka razy wstawał, chciał już iść ku drzwiom, które prowadziły do niéj — ale się wrócił i został.

Nad ranem doniesiono mu, że ma syna — zastygłe serce zabiło w nim od radości, ojcowskie uczucie kazało mu zapomnieć na wszystko, zerwał się i pobiegł do mieszkania żony uściskać syna.

Ta chwila zbliżyła go znowu do niéj, nie mógł nie przebaczyć matce swojego dziecięcia. Ona przyjęła to jego postąpienie dość spokojnie i obojętnie, ani przepraszała, ani się usprawiedliwiała; była słodką, ujmującą w obejściu się z nim, ale jakiś chłód, jakaś nieszczerość wiała od niéj. Miłość nie wróciła już — ale wróciło zgodne pożycie. Kazimierza może dotknął trochę ten brak skruchy w grzesznicy, ale tłomaczył sobie to jak mógł i uspokajał się.

Niepodobało mu się tylko, że jego żona teraz częściéj wyjeżdżała w sąsiedztwa, przyjmowała u siebie, bawiła się. Tego szału do zabawy nie mógł pogodzić ze stanem matki. Karnawał zbliżał się do końca — w sąsiedztwie o milę był zapowiedziany bal świetny, ona miała być także. Zdarzyło się jednak, że w tym czasie zachorowało dziecko tak mocno, iż była obawa o jego życie. Kazimierz był pewnym, że nie odjedzie w takim stanie dziecka. Wybierał się właśnie do jéj pokoju, chciał wspólnie z nią przesiedzieć tę noc przy kołysce, gdy nagle usłyszał na podworcu turkot powozu, zajeżdżającego przed ganek. Nie chciał własnym uszom wierzyć, zbliżył się do okna i zasłaniając się ręką od światła lampy, które mu patrzeć przeszkadzało, usiłował rozeznać w ciemności, czy kto wsiędzie do powozu. Wyszła na ganek ubrana w atłasy, wsiadła do powozu, za nią wniesiono jakieś tłomoczki i pojechała. Pojechała, nie pożegnawszy się z nim, zostawiwszy chore dziecko, któremu była matką. Kazimierz nie mógł zrozumieć tego, z przerażeniem pomyślał o tém, że taki potwór serca jest jego żoną i matką jego dziecka.

Odszedł od okna, wziął lampę i poszedł ku kołysce. Gdy wchodził do tego pokoju zdziwił go nieład, jaki tam zastał, pootwierane szuflady i szafy, rozrzucone rzeczy — w tém wszystkiém znać było pośpiech gorączkowy, niespokojny.

Przy kołysce siedziała mała dziewczyna, córka lokaja. Kazimierz spytał się jéj, dlaczego taki nieład w pokoju.

— Pani się pakowała do drogi — odrzekła dziewczyna.

— Do drogi?

Słowa te zmięszały go, niespodziewał się takiéj odpowiedzi, nierozumiał, co znaczy ten nagły wyjazd, domyślał się tylko czegoś złego. Chodził po pokoju upatrując, czy wśród porozrzucanych rupieci nie zobaczy jakiéj kartki od żony, któraby go oświeciła nieco. W jednéj szufladzie komody zobaczył w kącie jakąś paczkę listów, wyjął ją i rozwinął — pismo było męzkie, listy miały datę ostatnich miesięcy, były bez podpisu. Ostatni, który na wierzchu leżał był z dnia 20. lutego, a więc pięć dni temu datowany był z Warszawy. Kazimierz go rozwinął i czytał:

„Najdroższa!

„Niecierpliwie liczę czas, który mnie od Ciebie oddziela. Będę na balu u F., konie czekać będą w Rawie, wszystko tu przygotowałem dla mego Anioła. Długich pięć dni oddziela mnie od mego szczęścia, skracam je i osładzam myślą, że będziesz moją na zawsze“.

Pod temi kilkoma wierszami była litera J.

Kazimierz czytał — w głowie mu się mąciło okropnie, machinalnie kilka razy odczytywał list, litery poczęły mu majaczyć w oczach, ruszać się, wyciągać w potworne kształty i wykrzywiać obrzydliwie. Złożył list dygotającemi rękami, zamknął szufladę, otarł zimny pot, co mu rosił czoło i przeszedł się po pokoju. Potém kazał odejść dziewczynie, usiadł przy kołysce, patrzał długo w twarz śpiącego dziecka rozrumienioną gorączką i szepnął:

— Sierota! —

Na drugi dzień kazał kołyskę przenieść do swego pokoju, sprowadził piastunkę i jak matka czuła zajmował się dziecięciem. To dziecko było teraz jedyną myślą jego, jedynėm marzeniem — twarz jego posępna i dzika od smutku, wtedy tylko miała pogody trochę, gdy siadł przy kołysce. Trudy, bezsenne noce, starania koło malca, były jedyną rozrywką milczącego samotnika.

Chłopiec wyzdrowiał i rósł pod jego okiem — on sam uczył go chodzić, mówić. Gdy doszedł do siódmego roku uczył go czytać, na koniu jeździć, wykonywać ćwiczenia gimnastyczne — odżył w dziecku i z niém rozpoczynał na nowo życie, można powiedzieć: zdziecinniał do niego. Bolało go tylko i dziwiło, że w tak małym chłopcu budziły się jakieś szkaradne skłonności do pastwienia się, złośliwych psót. Mały miał passją prętem ścinać kwiaty, wbijać motyle na szpilki, ptakom ucinać skrzydła, bić pokrzywami po rękach wiejskie dzieci, z któremi się bawiał. Ojciec z trwogą patrzał na te zabawy chłopca, przebijało się w nich złe serce, choć ojciec samą miłością go prowadził.

Jednego dnia zobaczył malca w ogrodzie grzebiącego w ziemi; ucieszyła go ta skłonność do ogrodnictwa — praca koło roli jest zajęciem ludzi łagodnych, i w dzieciach i w narodach ta skłonność jest zaletą. Ojciec rad był z téj zmiany w chłopcu, zbliżył się więc ku niemu, pogłaskał po jasnych włoskach i

pochwalił za to zamiłowanie uprawy ziemi.

— Ależ ja tatku nic uprawiać niechcę, tylko odgrzebuję ziemię.

— A na co? —

— Zakopałem wczoraj mojego Filusia i chcę zobaczyć, czy jeszcze żyje.

Ojciec zcierpnął cały, dziecko wydało mu się w téj chwili potworem.

V.

Później wiek, wychowanie, rozwój umysłowy, starły te szorstkie, dzikie popędy w chłopcu — i wyrobił się młodzieniec wcale miły i dobrze ułożony; raziła w nim tylko zbytnia trzeźwość umysłowa, brak wszelkiéj fantazyi i czułości. Każdą rzecz widział jasno, bez złudzeń — rachunek był podstawą jego czynności, chłodna rozwaga i zimna krew odznaczała go między rówiennikami. Ukończywszy studja wyjechał za granicę. Po powrocie zaczął myśleć o ożenieniu i szukał posażnéj panny.

— Chcę się żenić — rzekł jednego razu do ojca — muszę znaleść pannę, odpowiednią memu majątkowi. Ale ja nie wiem, co mam.

— Wszystko jest twojém.

— Słowo, wiatr kochany ojcze — rzekł syn z jałowym uśmiechem.

Ojciec zrobił więc formalny zapis, zrzekając się wszystkiego na rzecz syna, nic prawie sobie nie zostawiając, bo chciał go widzieć rozrządzającego dużym majątkiem. Syn odebrał zapis, przejrzał go starannie, czy gdzie nie ma jakiéj nieformalności, jakiego dwuznacznika, o któryby potém zahaczyć można procesem, kazał go stwierdzić urzędownie i wyjechał szukać panny posażnéj i familjantki.

Tymczasem zaczęto fabrykę koło dworu, urządzano mieszkania, odświerzano, przebudowywano. Rządca wszedł raz do mieszkania Kazimierza i prosił, ażeby się usunął do oficyn, gdyż ten pokój ma przerobić na kancelarją dla młodszego pana. Kazimierz pobladł z oburzenia, ton mowy rządcy był impertynencki, zuchwały.

— Kto acana upoważnił do takich zmian? spytał.

Rządca pokazał mu list syna, gdzie między różnemi poleceniami stało:

„Dwór cały wyporządzić i zachować dla mnie! Ojca trzeba będzie przetransportować do jakiéj izdebki w oficynie“.

Oddał list rządcy, nie patrząc na niego ze wstydu i upokorzenia, spakował rzeczy i przeniósł się do oficyny — do jednego z gościnnych pokojów, który był nieco wilgotny.

Nie wychodził prawie z niego, bo go wstyd było wałęsać się koło dworu, nieuszanowany przez ludzi, którym niedawno rozkazywał. Oczekiwał niecierpliwie powrotu syna, chciał mu się poskarżyć, pewny był, że rządca źle zrozumiał rozkaz, że przeniesienie miało trwać tylko na czas reperacyi, chciał nawet poprosić syna, aby rządcę za zuchwałość względem niego oddalił. Marzył o świetnym związku dla syna, cieszył się na tę chwilę, kiedy synowę poprowadzi do ołtarza, kiedy dla młodéj pary wzniesie toast. Bawił się marzeniami, bo rzeczywistość była wcale nie zabawna. Najczęściéj dumał tak w nocy, bo sypiać czegoś nie mógł.

Raz kiedy tak położywszy się na łóżku puścił wodze swoim myślom, usłyszał turkot powozu po kamienistéj drodze — usiadł na łóżku i słuchał. Turkot stawał się głośniejszy i zbliżał się w kierunku ku dworowi. Nie omylił się w przeczuciu i oczekiwaniu — psy zaszczekały koło bramy, powóz zatrzymał się przed gankiem. Stary uchylił okno, by się lepiéj przekonać kto przyjechał — usłyszał głos syna. Ucieszył się, zapalił świecę i począł się ubierać pewny będąc, że za chwilę syn wejdzie z nim się przywitać.

Czekał całą godzinę — nikt się nie pokazał. Ojciec tłomaczył sobie: może się przebiera, może głodny, posilić się musi — i czekał znowu.

Minęła pierwsza, druga, nie kładł się spać, wciąż jeszcze czekał, we dworze widać było światło w oknach, to podtrzymywało jego nadzieje — i czekał wciąż. Aż senność go objęła i zasnął na krześle w ubraniu, zwiesiwszy zmęczoną głowę na poręcz.

Rano przebudził się, osłabiony bardzo niewygodném spaniem: przetarł oczy i czekał znowu. Potém pomyślał sobie, że syn może chory, bo inaczéj pewnieby przyszedł do niego, zebrał się i poszedł do dworu. W pokojach nie było nikogo — to go zdziwiło mocno. Już miał wychodzić, gdy przez otwarte okno zobaczył w ogrodzie nad stawem dwie osoby przechadzające się: mężczyznę i kobietę. Kobieta była ubrana biało, lekka gazowa zasłona okrywała jéj głowę. Stanął jak wryty, przypomniała mu się przeszłość jego. Dwadzieścia kilka lat temu on w tém samém miejscu przechadzał się ze swoją żoną — ranek był wtedy równie piękny, słońce tak samo odbijało się w stawie, powietrze było pełne woni i świeżości. Nie mógł się połapać, przecierał oczy, zdawało mu się, że spi jeszcze, że syn przypomina muułudne obrazy jego minionego szczęścia. Wyszedł spiesznie na ogród ku stawom. W zbliżającym się mężczyźnie poznał syna — lecz któż była ona? Stanął i zapatrzył się. Syn przywitał go chłodno, obojętnie i rzekł do kobiety:

— To mój ojciec.

— Któż ona jest? spytał Kazimierz.

— Żona moja. Chodź — rzekł zwracając do niéj mowę — obejrzyjmy oranżerją.

I zostawili starca osłupiałego, zdumionego.

— Żona — szeptał do siebie po ich odejściu — żona jego? Więc bez błogosławieństwa mego, bez po-

zwolenia.

— Jakiś dziwak ten twój ojciec — mówiła młoda pani, wsparta na ramieniu swego męża.

Stetryczał stary — rzekł mąż i wprowadził ją pod oszklony dach oranżeryi.

Starzec wrócił do domu ze zwieszoną na dół głową, pogrążony w myslach, usiadł w krześle i siedział tak godzin kilka. Nikt nie przyszedł przerwać samotności jego — służący przyniósł obiad jak dawniéj i odszedł. Stary próbował jeść — nie mógł, jedzenie dławiło go.

Tak przeżył kilka tygodni — syn nie pokazywał się wcale; staruszek nie skarżył się, nie narzekał, tylko osowiał, zdziczał, ogłupiał prawie. Z każdym dniem widział, że mniéj dbano o niego — potrawy przynoszono coraz lichsze, coraz szczuplejsze porcje — odmówiono mu wiele wygód, których zażądał, żałowano mu wszystkiego.

Raz chciał wyjechać do miasteczka — powiedziano mu, że konie zajęte. Jednego dnia posłał do syna służącego prosząc, by kazał kamieniarzowi we wsi wykuć pomnik — ten pomnik chciał postawić na grobie swego brata, który zginął za niego owéj fatalnéj nocy. Przez tyle lat nie pamiętał o biednym, upośledzonym garbusku, który leżał na wiejskim cmentarzu, pod mogiłą zapadłą od starości i porosłą chwastem — teraz przypomniał sobie o nim, sumienie wyrzucało mu niewdzięczność — przypomniał sobie o nim, bo dola ich była teraz jednaka i on teraz we dworze był tak zapomniany, poniewierany, jak niegdyś ów potworny niemowa. Chciał więc uczcić pamięć towarzysza niedoli. Służący wrócił od syna z odpowiedzią, że tego sobie nie zastrzegł w zapisie. Ojciec musiał przyznać, że syn pilnie studjował prawo.

Tego samego dnia wieczorem, gdy chciał zapalić świecę, świecy nie było — poprosił o nią — powiedziano mu, że świec brakło. I tego nie zastrzegł sobie w zapisie. Staruszek nic nie powiedział, nie skarżył się, nie złorzeczył — spakował rzeczy w tłomoczek, wyszedł wieczorem ze dworu z zaciśniętemi z bolu ustami, z zamróżonèm sercem i nie wrócił już.

Ciężką chorobę przebył w szpitalu — a potém znajdujemy go w domku przy ulicy Mostowéj. (Ciąg d. n.)

Germaine Staël.

(ŻYCIORYS.)

(Ciąg dalszy.)

W dwudziestym roku życia (1796) napisała: „Zofia, czyli uczucia tajemne“; jest to dramat wierszem, którego scena odbywa się w ogrodzie angielskim wobec pomnika i urny ocienionéj żałobnemi cyprysami. Cecylia, dziecko sześcioletnie, odzywa się tam do smutnéj Zofii, pożeranéj milczącą namiętnością:

I czemuż od nas ty teraz tak stronisz?
Mój ojciec lęka się o to.

ZOFIA.

Twój ojciec?

CECYLIA.

Mówi, że w melancholii ty się roztrwonisz,
Wytłómacz mi to słowo....

W ten sam sposób spytała raz panna Necker staréj marszałkowéj de Muchy, „co ona sądzi o miłości“. Ojciec uśmiał się wielce z tego, i nieraz sobie przypominali to zdarzenie.

Była w pierwszych pismach i w osobie panny Necker pewna żywość pomieszana ze smutkiem, duchowa swawola obok melancholii i szczególna łatwość chwytania saméj siebie na uczynku śmieszności, co właśnie uratowało ją od płytkości i świadczyło o wewnętrznèm zdrowiu. W tym to dramacie są owę wdzięczne wiersze, które słysząc, dziwimy się, żeśmy ich dotąd nie znali i pytamy się, w czém to pani Staël tak mówi, nie przypuszczając téj perły w tak młodziutkiéj i wczesnéj pracy:

Kiedyś, dowiesz się co to serce czuje,
Gdy prawdziwa namiętność szczęście mu zatruje;
Gdy ujrzysz, żeś na ziemi sama jest, bez domu,
Że pierwszą myślą nie jesteś nikomu;
Gdy będziesz cierpieć, mając straszną pewność,
Że na twój ból nikogo nie ogarnie rzewność;
I w końcu człowiek sobie sam się zbrzydzi,
Gdy go nikt nie kocha, sam się znienawidzi;
I dnie niesmaczne z ciężkiéj życia przędzy
Snują się zwolna, lecz zrywają prędzéj.

(Akt II. scena 8.)

Trzy nowelle ogłoszone w r. 1795, lecz napisane 10 lat przedtém, noszą tę samą barwę co Zofia. *Mirza*, *Adelaida* i *Teodora*, *Paulina*, są to zawsze, czy tam scena w Afryce u murzynów, czy w głębi angielskiego parku, nieszczęśliwe osłonięte chmurą uczuciowości kochanki, które nieszczęsna wiadomość o niewierności zamienia w cienie; jest to nagrobek wśród gaju, nad ruczajem.

Lecz dla naszéj autorki była to tylko jedna stacja młodości.

Późniéj.... wkrótce.... złamana widokiem namiętności publicznych, ostrzeżona może i własną jaką raną, zdobywa się na odpór przeciwko saméj sobie, przeciwko przesadnemu wzbieraniu uczuciowości. — W księdze o „wpływie namiętności“, starała się zwalczyć je, chciałaby je przytłumić; lecz i wtedy głos jéj oskarżający jest pełny i wzruszony.

Kiedy doszła do 20go roku — staje się już głośną i znaną.

W szeregu portretów tak opisał p. Guibert ówczesną pannę Necker pod nazwiskiem Zulmy: „Ma lat 20, jest najsłynniejszą kapłanką Apollina, jéj kadzidła są mu najprzyjemniejsze, jéj hymny najdroższe.... W jéj czarnych oczach iskrzy się geniusz, jéj hebanowe włosy spływają na ramiona w powiewnych lokach; rysy jéj są więcéj wyraźne jak delikatne — przebija w nich coś więcéj, jak zwykłe przeznaczenie jéj płci". A Grimm mówi o niéj: „Tę młodą osobę otaczają wszelkie ułudy jéj wieku, wszystkie przyjemności miasta i dworu, wszystkie hołdy należne zarówno sławie jéj ojca, jak i jéj własnéj — a dodajmy do tego jeszcze pragnienie podobania się, które samo jedno zastąpiłoby wszystkie inne zasoby, dane jéj od przyrody i losu". — Jest i miniatura jéj z tych lat: włosy rozsypane, zlekka pokręcone, wzrok pełen ufności, przejrzysty i jasny, czoło wysokie, wargi wpółotwarte, mówiące, wyraz i barwa płci ożywiona uczuciem, szyja i ramię odsłonięte, ubiór lekki, podpięty wstęgą powiewną, pierś o pełnym oddechu.

Pierwszém dziełem, od którego zgodnie z panią Staël należy ją datować, gdzie występują jéj rozstrzelone dotąd skłonności już uzbrojone w pewność i wymowę, są „Listy o J. J. Rousseau". Jest to hołd wdzięczności względem autora podziwianego przez nią, który był niejako jéj literackim rodzicem; z jego rąk odebrała lampę, od niego płynie jéj szeroka rzeka pięknego słowa, za którą to Dante dziękował Virgilemu, to też mówi o nim z miłością córki. Listy te są hymnem pełnym poważnych myśli, urozmaiconym trafnemi i delikatnemi spostrzeżeniami, ton ich dojrzały i świadomy siebie. Z tego dzieła można już przeczuć wszystkie późniejsze najrozmaitsze jéj pisma, tak jak w wielkim utworze muzycznym cały pomysł już w uwerturze się mieści. Powodzenie tych listów, odpowiadających wielce sympatycznie ruchowi czasu, było powszechne. Poczęto wprawdzie już wtedy rzucać się na autorkę (tak jak i późniéj zobaczymy) z bronią dowcipu i szykany, lecz zdołała ona wznieść się tak wysoko, że nieuzasadnione satyry nie mogły jéj dosiągnąć.

Groza wypadków rewolucyi przerwała to pierwsze, tak szczęśliwie rozpoczęte pasmo jéj literackiego życia — i usunęła ją z odmętu światowego, nie dającego ani chwili spoczynku. Myśl jéj i talent zyskały na téj zmianie.

Trzeba tutaj zauważyć, że pomimo bezwzględnéj wiary w ojca, pomimo zupełnego przyswojenia sobie jego idei politycznych, których broni w dziele: „Uwagi nad Rewolucją francuską"; że jednak pomimo tego młoda entuzjastka h a z a r d o w a ł a się na téj drodze nierównie daléj od niego. Nie trzymała się kombinacyj konstytucyi angielskiéj, szła daléj od najżywszych konstytucjonalistów jak La Fayette — i zatrzymała się dopiero przy wyobrażeniach rojalistów z roku 1791.

Wśród zamieszek Rewolucyi opuściła Paryż: rok terroryzmu przebyła w kantonie szwajcarskim Voud z ojcem i kilku przyjaciołmi. Tam, stałém jéj rozmyślaniem było porównywanie wspaniałego słońca i spokoju przyrody, z okropnościami, które wszędzie ręka ludzka roznosi. Oprócz okrzyku w obronie królowéj i listu „o Nieszczęściu", talent jéj zachowywał tam religijne milczenie. Po upadku terroryzmu odzyskała zdolność myślenia, więcéj energiczną po takiém przytłumieniu — i użyła jéj téż zaraz napisawszy: „Uwagi o pokoju zewnętrznym i wewnętrznym", w których pierwszéj części odzywa się do ministra angielskiego Pitta, a w drugiéj do Francuzów. Jest tam głęboka litość, spokojna sprawiedliwość, odezwa do wszystkich opinij niefanatycznych o zapomnienie, o darowanie i pogodzenie, obawa zagrażających reakcyj i wszelkich o s t a t e c z n o ś c i, k t ó r e j e d n e z d r u g i c h s i ę w y r a d z a j ą — jest zarazem podniosłość duszy i rozległość poglądów. W postaci téj młodéj kobiety, która staje na dymiących zgliszczach, aby przemawiać do narodu — jest jakieś klasyczne natchnienie. Głos jéj namiętny, ale rady dojrzałe i trzeźwe. Jako świadek śmiałych powodzeń fanatyzmu rewolucyjnego, oświadcza ona, że jest to najgroźniejsza z sił ludzkich. Uznaje, że jest nieuchronną w walce i konieczną do tryumfu w czasach rewolucyj — lecz następnie radaby ująć to uniesienie w stałą formę. Skoro fanatyzm ten żądał rzeczypospolitéj, i dobił się jéj nareszcie, zaklina ona wszystkie umysły rozsądne, wszystkich przyjacioł szlachetnéj wolności — jakiekolwiek byłoby ich widzenie — ażeby szczerze podparli ten nowy budynek; zaklina serca zdrowiejące w klęskach, żeby się nie wzburzały przeciw dokonanemu faktowi. „Zdaje mi się, — mówi ona — że zemsta (jeżeli w ogóle przyda się na coś, wobec strat, które się nie wrócą) nie może się odnosić do téj ludowéj formy rządu, nie może pożądać wstrząśnień politycznych, które zarówno niewinnych i winnych druzgocą". Przekonana, że głównie na opinje pośrednie działać można, stara się p. Staël przekonać w tém dziele przedewszystkiem swoje otoczenie, to jest dawnych rojalistów już konstytucyjnych, zgromadzić ich około nowego porządku, ażeby nań wpływali i umiarkowali go, ale bez ukrytéj myśli podkopywania. „Można się było opierać przeciw próbie tak nowéj, jak Rzeczpospolita we Francyi, póki tyle niebezpieczeństw jéj groziło, tyle nieszczęść do niéj wiodło — ale co innego jest po ustaleniu jéj chcieć znowu wracać przez krew do monarchii".

W późniejszych pismach aż do r. 1803 przywiązuje się p. Staël coraz bliżéj do téj formy rządu, a zasady filozoficzne rozwinięte w Konstytucyi republikańskiéj roku III., miały w niéj świetny swój organ. Późniéj do-